

Od piątku, 16 lutego, będziemy mogli oglądać w Teatrze Nowym POSK-u przesadną, komiczną, nieszpikowaną dowcipem i satyrą, bląhą ale zabawną farsę Stanisława Tyma pt. „Fifty-Fifty”, który to angielski (nie wiem czemu właśnie angielski) tytuł da się prosto wyłożyć jako „podzielmy się po połowie”.

Chwała Bogu! „Chwała Bogu” nie dlatego że podział ma nastąpić sprawiedliwie, uczciwie, po połowie, bo i jeden jest złodziej, i drugi złodziej, tylko że jeden to oficjalny, zawodowy włamywacz, a drugi — złodziej nieoficjalny, bo na urzędowym stanowisku. „Chwała Bogu” — dlatego, że nareszcie będzie bezpretensjonalna farsa na naszej scenie, niemądra, absurdalna, ale dająca okazję do popisu wielu aktorom, publiczności zaś sposobność do śmiechu i oklasków.

Wiele było ostatnio poważnych przedstawień. W głębi duszy nasza

Przed premierą „Fifty-Fifty” w Teatrze POSK-u

ŻART, ABSURD, SATYRA...

publiczność zaczyna już tęsknić za odpoczynkową zabawą, jaką nabył „Żołnierz Królowej Madagaskaru”. Powinna ją teraz mieć, i to tym bardziej, że na czele zespołu, którego jedenaście występów organizuje Urszula Święcicka, stają znani aktorzy warszawscy: Ewa Dałkowska i Mieczysław Czechowicz.

Oprócz tej pary gra 12 osób, wśród których mamy ulubienca publiczności (z jego Fredrowskich) Cz. Grocholskiego; interesujące, dobrze nam znane panie: Jolantę Banak, Lenę Harrison (już widzę dla niej następną rolę, na wiosnę), urodziwą Annę Kazmierczak, Matyldę Szymańską, i nasz najlepszy kobiecy talent charakterystyczny, Krystynę Podleską. I trzeba przyklasnąć pewnie

Zdzisław Broncell

skromnej, ale bardzo słusznej innowacji, wprowadzonej przez organizatorkę i reżysera: w malej, ale znamiennej roli zjawi się na scenie Alleja Skowron, podana w programie jako „adeptka”, to znaczy nie będąca jeszcze pełną członkinią ZASP-u. Tylko jednak w ten sposób, od czasu do czasu rzucając młodych na „głębokie wody” prawdziwego teatru, możemy sobie zapewnić przyszłe pokolenia aktorskie. Ala Skowron będzie miała debiut zgola niesentymalny, w kontraście do swych ładnych recytacji romantycznych wierszy w wieczorach poetyckich Olgi Żeromskiej: będzie w komedii „Fifty-Fifty”, przysłowiową „panną z dzieckiem” w rodzinie partyjnego dygnitarza. A z kim to dziecko, i jak, i dlaczego, do wiemy się na przedstawieniu...

Grają jeszcze aktorzy, albo już dobrze tu zadomowieni, albo też przebywający na stypendiach w angielskich szkołach aktorskich, rozszerzając w ten sposób doświadczenie nabyte na scenach polskich: a więc — Tad. Chudecki (uderzające zdolności charakterystyczne), Jacek Jezierzański (już zrobił tu sobie nazwisko), przystojny Janusz Szydłowski, pięknołgłosy Wojciech Piekarski, oraz utalentowany Daniel Woźniak. Aż żal, że Urszula Święcicka zebrała tak znakomity zespół dla tak blądej sztuczki.

Dyrektorzy teatrów zawsze mają ambicje wystawiania dzieł wielkiego repertuaru, klasycznych komedii, sztuk o znaczeniu społecznym, czy filozoficznym, ale w skrytości ducha marzą o udanej, zwariowanej farsie, mającej napędzić teatralną kasę.

Niestety, dobra farsa jest rzadkością: trudniej napisać farsę niż dramat, najlepszy dowód, że więcej jest dramatów aniżeli dobrych fars. Trudniej zagrać męża zdradzającego żonę, przez żonę też zdradzanego, uwikłanego w nieprawdopodobne sytuacje, aniżeli poważną rolę. Bo przecie trzeba tak grać, ażeby nadać jakąś prawdę postaci ze świata absurdu,

zyskać jakąś sympatię widza dla niecnoty i wybaczenie dla jego słabostek, bez sugerowania widowni, że wszyscy panowie na sali są nieco podobni do tego bohatera farsy.

Farsa jest równie odwieczna jak teatr: greckie sztuki satyrowe graniczą z farsą, rzymskie bezceremonialne wodewile, przynęcające współczesność i grane na równi z poważną tragedią, to też dorobek farsy. O potrzebie śmiechu i żywotności sztuki komicznej, zwłaszcza w jej satyrycznej wenie, świadczy zwyczaj dziewiętnastowiecznego teatru wystawiania komicznej jednoaktówki, jako wstępu do następującego później pięcioaktowego, sentymentalnego melodramatu. Ale prawdziwy rozkwit farsy współczesnej nastąpił we Francji, w dobie mieszczańskiej monarchii Ludwika Filipa i w okresie pompacyjnych rządów Napoleona III, o których mówiono, że wyróżniały się zwiększeniem ilości wojska, ilości księży, oraz rozkwitem domów publicznych.

Bo farsa wymaga pewnego szczególnego podłoża społecznego, a mianowicie kontrastu między oficjalną ideologią i moralnością, rzeczywistością życia, wymaga atmosfery frazesu „drętwej mowy”.

W historycznym rozwoju farsy zanika właściwie miłość: zostaje tylko erotyka. W dramacie — zdrada kochanka czy męża, mogła prowadzić do tragedii, do morderstwa, do samobójstwa; w komedii — do rozbicia rodziny; natomiast w farsie — nie ma dramatu, nie ma rozvodu, co najmniej zawiędzona żona tłucze talerze, mąż nieszczerze obiecuje poprawę i kupuje futro. Nic dziwnego, ponieważ w tych związkach, które stały się punktem wyjścia komicznych sytuacji francuskiej farsy nie było miłości, były tylko kalkulacje finansowe: posag, połączenie firm, zapewnienie sobie wygodnego poziomu życia, albo nawet zamężnego wdowieństwa. Nic dziwnego, że teraz zrodziła się w polskim teatrze farsa w rodzaju „Fifty-Fifty”.

Farsa często demaskuje ukrytą groteskową prawdę — w tej sztuce tą prawdą jest, że nie ma właściwie przedziału między zawodowym złodziejem-włamywaczem, a człowiekiem na stanowisku, „urządającym się” za państwowe pieniądze.

Sztuka „Pół na pół” jest farsą o korupcji, bo kiedy farsa odżywa w krajowych warunkach, to okazuje się że sprawy gospodarcze nawet i erotykę spychają na dalsze miejsce. Tak oto świat się toczy. Proszę zobaczyć tę panoramkę świata wicewojewody na scenie POSK-u i — samemu to wszystko osądzić...